



Anna Danuta Przytuła

Sygnatura notacji: **N1012**
Data urodzenia: **22.11.1925 r.**
Data nagrania: **28.01.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Minneapolis, Stany Zjednoczone**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 55 min, część III 60 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

część III z III



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Danuta Przytuła: To ja byłam zaprzysiężona od razu.

Rafał Pękała: Od razu, kiedy została pani łączniczką?

Anna Danuta Przytuła: Nie, wcześniej. Jak tylko zaczęłam się zajmować tym, co mi babcia wymyśliła, mówi: „Przecież ty jesteś potrzebna tym ludziom, widzisz, że kręcą się. Robisz swoje, robisz co innego, ale robisz swoje, no więc przysięgę składasz, jesteś już”. No a potem mówi, już nie potrzebujesz składać przysięgi, bo już jesteś. A kto przyjmował tę przysięgę? Wie pan, że ja nie przypomnę sobie tego. Pewnie babcia przyprowadziła kogoś, bo mówiłam, że ona pracowała w Czerwonym Krzyżu i była z tą swoją grupą w tej kawiarni, tej restauracji. Pewnie tam kogoś z wojskowych wzięła. No wiem, że złożyłam tę przysięgę. Dostałam opaskę, no to, co było niezbędne, atrybuty, jakąś torbę taką dość solidną przez ramię, żebym dokumenty tam trzymała, te, które mi dają. I wie pan, co jakiś czas jakieś bomby, nie bomby, rozbijały jakieś magazyny, więc wiem na przykład, że chodziły całe oddziały jednakowo ubrane. I ja dostałam jakiś taki fartuch, pewnie sklepowy, popielaty. I to był mój strój. Buty oczywiście, no to dałam jedną parę po drugiej, no. Ale ubranie, nie chodziłam w swoim ubraniu, tylko właśnie w tym takim fartuchu. No oczywiście jakiś orzełek i wiem, że miałam furażerkę, ale ona mi ciągle spadała z głowy przy tym bieganiu. Więc ją gdzieś w kieszeni trzymałam, no tylko opaska. Opaska, no i oczywiście hasło na noc, żebym, jak mnie zatrzymają, żeby mnie przepuścili. Hasła to były, wie pan, takie, przykładowo powiem no. Hasło na tę noc „karabin”, odzew „lufa” albo odzew „nabój”. No to jakieś takie, że nie zapisywało się tego, trzeba było zapamiętać. Ale to było konieczne. I ja, wie pan, czułam się w nocy i dobrze, i źle. Bo ja nie wiem, od dziecka byłam straszona przez pomoce domowe, żebym spała, żebym

zasypiała, jak rodzice wrócą z zebrania, żeby nie było kwestii, czy dziewczyna dała jeść dzieciom i czy położyła je. Efekt był taki, że ja się bałam ciemności, bardzo. Właściwie zasypiałam zawsze zakryta na głowę, zmęczona, spocona. No i nie spałam właściwie, zakrywałam się, ale nie spałam. Więc te noce, dla mnie bieganie w nocy też było takie, z jednej strony cieszyłam się, że mnie nie widzą może, że jeżeli gdzieś tam jacyś snajperzy mierzą, no to może mnie nie widzą, prawda. To nie to, co w biały dzień, prawda. Więc to były te plusy. Ale minusem było to, że latarki przecież nie mogłam palić, bo bym na siebie ściągała. Więc po ciemku biegałam i miałam najróżniejsze przygody. Pamiętam, że kiedyś wpadłam do takiego rowu, pełno było zabitych ludzi. Czasami miałam wrażenie, wie pan, że te bruzdy, po których biegnę, że ja słyszę głosy, że one się ruszają. Bo przecież nie można było, to kamienice, trzy, czteropiętrowe, nie było żadnego sprzętu. Gołymi rękami na ulicy pod obstrzałem, no trudno było się dokopywać do ludzi. A ludzie siedzieli z reguły w piwnicach. Więc może rzeczywiście człowiek chodził, a tam jeszcze ludzie żyli. No ale nie sposób było się do nich dostać. A to, to akurat wpadłam w rów, że po tych ludziach jakichś zabitych, niesamowity odór, wygrzebałam się po tych ciałach, wyszłam i... Inna jest rzecz, wie pan, że zawsze sobie mówiłam: „to się już drugi raz nie powtórzy, więc nie denerwuj się, to się już nie powtórzy”. Mogło się powtórzyć, ale się nie powtórzyło, no. Albo powiedzmy widziałam spalonych. No nie chciałam patrzeć, bo spalony człowiek wygląda strasznie. I znowu sobie myślałam: „nie musi się mnie to zdarzyć, nie chcę o tym myśleć, bo nie ruszę jutro”. No człowiek ma pewne granice wytrzymałości. Ale ogólnie, wie pan, zasadniczo trzymałam się bardzo dobrze. Tak mi się wydaje, bo na mnie czekała rodzina, której miałam przynosić bardzo dobre wiadomości. No więc skądś musiałam je brać. Więc fantazjowałam po prostu, że już się dowiedziałam w dowództwie o tym, o tamtym, o owym, wszyscy zadowoleni, już jest porozumienie, już Rosjanie zaraz ruszą i tak dalej, Niemcy kapitulują, najróżniejsze bajki im opowiadałam. Odwiedzałam także rodzinę narzeczonego, bo ta też była niezniszczona, ta... – Emilii Plater, tak? – Emilii Plater. No i tam też trzeba było jakieś wiadomości, oni dostatecznie dobici, że nie mają wiadomości, co się z synem dzieje. No więc ja chociaż jakieś ogólne wiadomości im chciałam przynieść. To samo. Nie miałam żadnych, czasami jeszcze próbowałam fantazjować w biurze, ale to już ci moi szefowie: „Co ty nam za bzdury opowiadasz. Oddalibyśmy dwadzieścia lat życia, żeby wierzyć w to, co ty im opowiadasz”. Oni dobrze wiedzieli, jak sytuacja wygląda, no. Lepiej jak ja. Że wszystko zmarnowane. Zmarnowane w tym sensie, że Rosjanie wejdą, kiedy będą chcieli, aż my się wykrwawimy. Nie wejdą teraz. Nie pozwolą nawet przeżyć ten dzień przyjemności, że może wam pomogliśmy trochę w wyzwaniu miasta, nie. No a Niemcy nas wykańczają, no więc... Jeżeli jeszcze ktoś się uchował, przecież to zginęło przeszło 200 tysięcy. Była to, wie pan, nigdy nie miałam uczucia, że żałowałam, że brałam udział w Powstaniu albo że to nie warto było. Nigdy nie miałam takich myśli. Po prostu mi się zdawało, że... Pisałam o tym zresztą w tej swojej historii mówionej. Mówiłam, nie pisałam. Że jak to mogłoby być, jeżeli my słyszymy, że tu... tu Polacy, Tobruk, nie Tobruk, Dunkierka, nie Dunkierka. Wszędzie Polacy walczą. Tu Monte Cassino. A my co, w Warszawie nic? Czekamy? Na co czekamy? No to my też musimy coś zrobić. Co możemy zrobić? No po prostu pomóc w wyzwaniu miasta. To będzie nasz wkład, że myśmy coś w tym kierunku zrobili. No więc tę broń nam, że tak powiem, wytrącili Rosjanie, bo nie weszli łaskawie, dopóki myśmy nie wykończyli się. Potem po latach w Częstochowie spotkałam takiego Rosjanina, bo obok mieszkałam szpitala, i on przychodził w tym swoim stroju takim. I pamiętam, że on mówił: „Myśmy nie mogli ruszyć, bo to nie był czas”. Ja mówię: „Wyście czekali, aż nas wymordują”. I prawda jest taka właśnie. „Czekaliście, aż nas Niemcy wykończą”. No to była taka relacja specjalna, że on tylko do babci mówił: „Babuszka, jej język to jest jej wróg. Babuszka pilnuj ją, bo ją aresztują”. A ja czułam, że ja mogę do niego mówić, no bo akurat jakiś tam sentyment do mnie miał. W każdym razie moment był absolutnie tragiczny. Zawieźli nas do tego Pruszkowa.

Rafał Pękała: Jeszcze chciałem zapytać o pani pseudonim. Skąd się...

Anna Danuta Przytuła: Wie pan, z domu. Bo ja byłem dość taka ruchliwa, żywotna i wszyscy na mnie wołali „koza, koza, koza”. I kiedy spytali mnie, jaki chcę pseudonim, to ja ani chwili nie myślałam. Mogłam sobie wymyślić jakiś ładny kwiatek. Ale, no „Kozą”.

Rafał Pękała: To się nawet sprawdziło, bo pani skakała po tych...

Anna Danuta Przytuła: Naskakałam się. Wie pan, to głupstwa, o których nie warto mówić, ale pamiętam, jak koledzy przychodzili i przynosili mi pantofle. I mówią, przecież ty jedną parę po drugiej niszcysz na tych gruzach. I przynosili mi takie śliczne pantofle, bo to porozbijane sklepy były. Ja patrzyłam, mówię, Boże, to najdroższe firmy. „Struś”, „Leszczyński”, śliczne pantofelki. Ale ja ich nie mogę przecież schować. Ja muszę w nich biegać, bo dlatego mi te pantofle przynieśli. Ale to nie nadawało się. To trzeba było w jakichś buciorach latać. No a jedne pantofle po drugich niszczyłam. Miałam zwichnięte, wie pan, nogi. Kiedyś byłam w domu, gdzie bomba spadła. Byłam zasypiana. Ale, wie pan, starałam się po prostu, jakaś komedia ludzka po prostu. Zdawało mi się, że mam obowiązek coś grać. Pamiętam, że nie było mnie, jak to się mówi, widać. Dusiałam się, ale ludzie wpadli od razu, bo to wpadła chyba ta bomba albo w ten dom, albo obok, tak że nie mogłam oddychać. Stosunek do tych powstańców był tak inny od tego, czego ja się mogłam spodziewać. Nie mogę powiedzieć, że bym była prześladowana, bo ja nigdzie absolutnie się nie zarejestrowałam. Nigdzie. To się zmieniło dopiero po wojnie, ten stosunek do powstańców? Nigdzie, też nie. Też nie? Ja nie jestem ani w Związku Polaków w Ameryce, ani w Polsce. No musiałam przedstawić tę legitymację i ten krzyżyk. Jakby pan był ciekawy, to mogę panu pokazać. Może tam znajdę. To jest ten jedyny dowód, którym się posługuję, jak jadę. Zresztą w tej chwili to jestem w żywym kontakcie z Ołdakowskim. To jest dyrektor [dyr. Muzeum Powstania Warszawskiego]. Tak że nie czuję, wie pan, sensu i potrzeby. To znaczy teraz bym może i czuła, ale to wszystko za późno jest. To był czas komunizmu, potem ta III Rzeczpospolita. Nie. Może no mogłam mieć jakieś ulgi czy coś, ale to mi się wydawało, że to wszystko jest takie spóźnione, takie jakieś wymuszone, że dopiero właściwie jak pojechałam, jeździłam co roku. Ale to tak jak mówię, za tymi żółtymi jakimiś sznurami stałam, jak trafiło mi się lepsze miejsce, jakaś uroczystość była. Poszłam na cmentarz, poszłam na grób, bo już znałam wtedy miejsce, gdzie jest pochowany mój narzeczony. I to było właściwie, wystarczyło mi to, sobie pomyślałam, co było, to było. Nie chcę z niczego korzystać i nie korzystam. Jeden raz na rocznicę chyba 70. może dostałam zawiadomienie, że zaproszona jestem i że pokryją mój pobyt w hotelu i moją podróż. Po prostu wie pan, poza tymi jakimiś tam złamane biodro czy złamana ręka, to to nie są moje problemy, tylko serce, ale co gorsze, rozwojowa choroba. W Polsce to nazywają „żółtą plamką”. Ja po prostu ślepnę. To jest degeneracja oka. I na to nie mają w Ameryce żadnego ratunku. Lekarz mi zresztą powiedział, ja uprzedzałem, że to jest rozwojowe. Ja mówię, no tak, ale jak tak wolniutko się posuwało, to mi się zdawało, że ja jeszcze mam bardzo dużo czasu. I nagle ja nie mogę czytać, ja nie mogę pisać, ja nie mogę żadnego dokumentu podpisać. Przychodzą papiery i ja właściwie nie wiem, co to za papiery są, może bardzo ważne. No jestem w kontakcie, wie pan, bo po prostu w muzeum zbierali. Pan zna tę akcję „BohaterON”? Tak. Więc przysłali mi, tak jak w zeszłym roku, osiemdziesiąt takich różnych listów. Już w paczce z samego muzeum. No wie pan, syn mi mówi: „Ja ci będę czytał, ale nie mam siły odpisywać”. Więc ja mówię: „To wiesz, ja może wybiorę, no nie wiem, na jakiej zasadzie, wybiorę kilka, chociaż do paru osób.” „No tu jest, widzisz, chore dziecko, no napisało. No to ja

muszę odpisać. Tutaj więźniowie jacyś napisali, że interesują się historią i Powstaniem. No ja im muszę odpisać.”. I tak wybrałam, wie pan, parę głębszych listów, że wyszło z tego chyba ze dewanaście sztuk i mówię, to już muszę odpisać. To znaczy: „Ja będę ci dyktować, a ty potem wydrukuj.”. Nigdy innych listów nie, jak ręcznie, nie przesyłam ludziom, bo to jest dla mnie skandal, żeby wydrukować list. Przecież to powinno być ręcznie napisane. No ale nie dawałam ja rady, a syn mówi, wydrukuję po prostu.

Rafał Pękała: A co pani myśli o tej akcji „BohaterON”?

Anna Danuta Przytuła: Słucham?

Rafał Pękała: Co pani myśli o tej akcji „BohaterON”?

Anna Danuta Przytuła: No wie pan, bardzo sympatyczna akcja. Nawet muszę panu coś pokazać. To później, po skończeniu. Później może. Może ta Hania mi tam wyjmie. Wie pan, to bardzo miła akcja. I przede wszystkim ja przeżywam pewne oszołomienie, tylko już za późno, że ja się wreszcie doczekałam czegoś. No nie ja, tylko my. Ja jadę i ta atmosfera, te biało-czerwone miasto całe, tyle miejsc jest w Warszawie, gdzie kwiaty, gdzie wieńce. No po prostu przepięknie Warszawa wygląda. Sierpień, no dla mnie już teraz jest troszkę za bardzo gorący. Bardzo lubię te „Niezakazane piosenki”, ale wie pan, na odkrytej przestrzeni, na Placu Piłsudskiego, to już ostatni raz jak byłam, to synowie cały czas mnie wachlowali. Bo już nie wytrzymałam, no. Ale jest na pewno atmosfera. I tak po prostu czuję, jak się... Nie wiem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej. Ta młodzież pełna takiego entuzjazmu i patriotyzmu, i gotowości do pomocy. A przecież ja pamiętam, jak jeździłam i mówiłam: „Boże, co się z tą młodzieżą zrobiło? Czy to naprawdę tylko ciepła woda w kranie i grillowanie i ten jakiś język zupełnie ordynarny?”. No nie wymagam, żeby ktoś mówił językiem literackim. Ale ja takiego języka nie znałam po prostu. Więc dla mnie to był szok. I nagle tutaj się wszystko odmienia, no. To jest wspaniałe. To jest wspaniałe. Może jeszcze mam jedno pytanie odnośnie Powstania. Na którym ramieniu nosiliście opaski biało-czerwone? Sama usiłuję sobie przypomnieć to, wie pan. Sama sobie usiłuję przypomnieć, jak to było. No prawą rękę miałam zajęętą, ale na lewej wisiła torba. To nie mogłam, bo bym zahaczała. No więc chyba jednak musiałam na prawej. I muszę zobaczyć, wie pan, bo mam jakieś tam, nie, zdjęcia żadnego swojego nie mam, ale mam, na przykład syn mi nagrał „Niezakazane piosenki”. Więc mówię, muszę popatrzeć, na którym ramieniu ludzie mają te opaski.

Rafał Pękała: Pani nie pamięta?

Anna Danuta Przytuła: Nie pamiętam. I co więcej, wie pan, że nawet nie umiałabym panu powiedzieć, bo mi się zdaje, że ja miałam dwa napisy. Więc ja musiałam mieć albo PW, albo AK, ale pod spodem było WSK – Wojskowa Służba Kobiet. To jakoś sobie przypominałam.

Rafał Pękała: Czy jeszcze coś pani miała takiego odróżniającego panią od..., nie wiem, bo mówiła pani o tym fartuchu?

Anna Danuta Przytuła: Taki popielaty, jakiś fartuch, jak rozbili jakieś zakłady odzieżowe. I w ten sposób nagle dużo jakichś ubrań, bluz dla mężczyzn, dla kobiet.

Rafał Pękała: Broni pani nie miała żadnej? Czy miała pani broń?

Anna Danuta Przytuła: Nie, nie. No co by mi to dało?

Rafał Pękała: A pamięta pani, bo pewnie nie wiedziała pani, co pani przynosi, jakiego rodzaju rozkazy?

Anna Danuta Przytuła: Nie, nigdy. Nigdy nie wiedziałam. Tylko wie pan, wiem, że kiedyś było bombardowanie. Może walili nawet w ten gmach PKO. Ja byłam taka znużona, zmęczona i kazali mi siedzieć, czekać, zaraz dokumenty będą. I wie pan, że straciłam kontakt z rzeczywistością, obudziłam się, bo PKO w głąb, jest dość głęboko, są piętra. I dlatego tam w 1939 roku ojciec mówił, tam były pieniądze, nie pieniądze, dokumenty. Jak zwiłali cały ten interes, to mówił: „tam stamtąd wynosiliśmy to wszystko.”. I więc pamiętam, że obudziłam się na dole i mówię: „Co ja tu robię?” – „A no znieśli cię, znieśli cię na dół, ty zupełnie nieprzytomna byłaś, taka śpiąca.”. Więc jakie to zmęczenie, że człowiek, jakby zginął, to by zginął, nawet by nie wiedział. Ale zasadniczo, wie pan, to nie powiem, że bym była... Nie miałam czasu być głodna. Na przykład koledzy czasem przynosili mi raz i drugi, spadły tak zwane dostawy, ale ruskie. I to było fatalne, bo to było bez spadochronów. Więc widzieliśmy, jak ten smalec się tak na tej ścianie domu rozmaszał. Akurat smalec. I pomyślałam, że Boże, żeby to spadło na ziemię, to byłoby jakieś jedzenie. Ale niech mi pan wierzy, ja zęby połamałam na tych sucharach. Bo człowiek sobie wyobraża, że suchar to jest coś, co da się gryźć. To jak podeszew. Ale mnie to ratowało i mnie się zdaje, że dlatego ja nie byłam głodna, że koledzy mi czasem jakiegoś suchara przynieśli i ja, ślinianki pracowały, ja to ssałam. To też jest coś. Tak że nie czułam głodu, tylko takiego suchara ssałam, ssałam, nigdy nie byłam w stanie ugryźć. Ale to było coś.

Rafał Pękała: Chce pani chwileczkę przerwy?

Anna Danuta Przytuła: Nie, nie. Co pan chce, proszę bardzo. Chciałam zapytać, o której godzinie wyszłicie z tą ludnością cywilną, wyszła pani? Jak ta droga do Pruszkowa przebiegała? Wie pan co, że to nie było jednorazowo. To ludzie się ciągnęli, a ciągnęli. Ja, tak jak mówię, poszłam z mamą, mama się pożegnała z braćmi. Już niby był koniec, ale jeszcze nie wychodzili oni. Więc mama poszła, pożegnała się z jednym bratem, z drugim. Dała im, pamiętam, po 10 dolarów, że: „Może kawałek chleba, który uratuje wam życie.”. Oni nie chcieli, no ale mama mówi: „Weźcie, tyle mam, to wam daję.”. I wiem, że ludzie niektórzy byli gotowi i wcześniej ruszali, bo to nie było tak, że jakieś jednorazowe na godzinę. Nie, to już wychodźcie. Po prostu tu się szykowały oddziały, mieli składać broń, mieli się jakoś doprowadzić do wyglądu ludzkiego, a tu z różnych ulic Warszawy wychodziły te dziady z tymi workami. Więc to się ciągnęło, a ciągnęło. To nie było, wie pan, tak, że o, w ten poniedziałek od 1:00 do 4:00. Nie, to było kilka dni. Więc tak naprawdę, którego no, 63 dni było to na pewno. Ale o której godzinie to było, bo nawet, tak jak mówię, babcia w ostatniej chwili sprawdzała, co mamy. Z plecaka wyjmowała, wkładała, to weźmiesz, to zostawisz. To było śmieszne, ale i tragiczne. Ale najgorsze było w samym Pruszkowie, bo jak do... Jeszcze mam pytanie, bo Niem-

cy jeszcze mieli takie, były obozy przejściowe w Warszawie, w różnych miejscach, takie punkty gromadzenia się ludności. Czy wy od razu bezpośrednio szliście do Pruszkowa? Do Pruszkowa. Bezpośrednio, ale piechotą, czy jeszcze gdzieś tam... To w ogóle, wie pan, gromada, jak to się mówi, ludzi, których się nie znało, idą. Idą, a my idziemy z nimi. To jedni z tych, którzy wychodzą z ludnością cywilną. No i przyznam się panu, że to wszystko zaczynało pachnieć czymś bardzo nieprzyjemnym, dlatego że nagle zrozumiałam, że ja wychodzę z ludnością cywilną, a mnie przecież w każdej chwili wywozą na roboty. No babcia nie, mama nie, ale mnie to wywozą. Zapędzili nas do... tam było parę hal w tym Pruszkowie, gdzie nas gromadzili. To było bez ładu i składu, to po prostu jak wszedłeś, no to tak zajęłeś jakieś miejsce i siedziałeś czy leżałeś. I pamiętam, że babcia mówi: „No więc co z nią robimy?”. I mama mówi: „No ona ma warkocze”, bo ja miałam cały czas warkocze, „Ona ma warkocze, no to te warkocze, no może jakaś wstążka, no żeby wyglądała na 15 lat, żeby nie była pełnoletnia.”. No nie byłam pełnoletnia, no ale miałam 18 i pół. I wie pan, i w pewnej chwili mama tak widzi, pamiętam jak stoi naprzeciwko mnie i mówi: „Nie, ty nie wyglądasz na 15 lat. Ja nie wiem, co my zrobimy”. No i wtedy nagle, wie pan, takie olśnienie. Babcia mówi, słuchaj, kobiety nosiły do pończoch takie duże pasy, od góry do dołu, teraz się tego nie praktykuje, ale kiedyś takie nosiły i to pozwalało jakąś tę figurę trzymać ładnie. I mówi: „Słuchaj, to my weźmiemy ubrania różne i ją wpakujemy w taki pasek i zrobimy odmienny stan.”. Niewiele miałyśmy, ale to, co miałyśmy, jak mnie zasznurowały tym, to ja myślałam, że ja tam umrę, że ja się uduszę. No ale ten brzuch powstał i nawet dwóch szwabów mnie doprowadziło do wagonu towarowego dla chorych. Ale nim to nastąpiło, to babcia mówi: „Dobrze, zacznij segregować, będą oglądać. No wreszcie otworzą ten fartuch i zobaczą.”. No i mama powiedziała do cioci: „Słuchaj, proszę cię, ja nic nie mam, tylko obrączkę. Mam parę jeszcze drobiazgów, jakieś łańcuszki z tego, co mi ci Żydzi dali, ale ja wszystko dałam tym siostram, no za przechowanie go, żeby miały. Czy możesz dać zegarek swój?”. Ciocia miała złoty, damski zegarek. No i ciocia mówi: „Oczywiście.”, zdjęła z ręki. I nie powiem panu jak, bo to zawsze załatwiała babcia. Podeszła i jakimś sanitariuszkom to dała. Jakiejś sanitariuszce. I ona mnie wzięła pod rękę i w tym momencie Niemcy, pomóc jej, bo zobaczyli, że ja jestem z tym brzuchem. Odchylili kurtkę, ale tylko odchylili. Tak że, no zobaczyli, że jest brzuch, jest. I pomogli mi po tych schodach do tego towarowego wagonu wejść. No i w ten sposób wiedziałam, że przynajmniej jedno, że wiem, dlaczego wyszłam z tą swoją rodziną. Że nie wiozą mnie na roboty, bo to był wagon dla ludzi chorych. Starych, chorych i tak dalej. Ta gehenna oczywiście wyglądała w ten sposób, że wie pan, no, kobiety, mężczyźni, razem w tych wagonach odkrytych, towarowych. Ludność by nam podawała coś, bo tylko ławki były takie, odkryte i ławki. No ludność by nam podawała coś do jedzenia, ale zatrzymywał się na moment i ruszał dalej ten pociąg. Więc właśnie nie było momentu, żeby mieli kiedy ci ludzie nam coś dać. Zresztą może byśmy nawet nie jedli, pić się chciało tylko. I tak nas dowlekli z przystankami, pytania „Gdzie nas wieziecie?”, „No gdzie nas wieziecie?”. – „Do Niemiec”. „Ale po co wam, po co my wam do Niemiec, no?”. No przecież to są ludzie, którzy się do niczego nie nadają, tak? No i oni chyba w pewnej chwili też do tego doszli, wie pan, że nie ma sensu nas wieźć. No bo się do robót żadnych nie nadajemy, no to po co? I w pewnej chwili otworzyli wagon i mówią: „Wysiadajcie, wszyscy jesteście wolni”. I to były Rudniki, czy nie Rudniki, blisko Częstochowy. No i ja wtedy powiedziałam: „Mamusiu, no ale my tu nic nie mamy, ani pieniędzy, ani nic”. „Nic nie mamy, ale tu jest rodzina ojca daleka, kuzyn jakiś w Częstochowie, więc byle się dowlec do Częstochowy i tam u nich się zatrzymamy, na pewno pozwolą nam kilka dni chociaż.”. No i tak to się stało, że wylądowałam w Częstochowie. Ale już, wie pan, widywałam z okien domu, w którym mieszkaliśmy, widziałam pojedyncze wojsko idące. Wiadomo było, że to jest odwrót. Grupkami małymi, jakieś samochody. Że to jest odwrót wojska niemieckiego. Ale jednocześnie zanim to nastąpiło, to łapanki w Częstochowie były. I znowu:

„Nie wychodź, nie wychodź.”. Czasami, no śmieszna sytuacja, mówię: „Straszny ruch na mieście, co jest? Co się dzieje?”. No łapanka. Ja mówię „łapanka?”. „Tak”. „Ale nie łapią normalnych ludzi, tylko tych z Warszawy.”. Tylko tych z Warszawy. Widocznie doszli do wniosku, że jednak pewnie trochę się jakoś tam przemknęło w tych towarowych wagonach. Więc znowu nie mogłam, wie pan, wychodzić na zewnątrz. Jak weszli Rosjanie, jeszcze gorzej było, bo mama w ogóle mnie zamknęła na strychu, bo uważała, że jeszcze Niemcy to Niemcy, ale Rosjanie, nie. To już nie ma mowy, żebyś wychodziła w ogóle z domu. Ale to już dalsze, wie pan, perypetie. Jeżeli to pana będzie interesować, to powiem, no bo w końcu życie jakoś się tam ułożyło. Mama była zrozpaczona, bo nie wie, co z braćmi. No mnie ma, mieszkanie spalone. No przyjaciół zasadniczo w Częstochowie nie mieliśmy specjalnie żadnych. I nie wie, czy ojciec żyje. I występowała do Czerwonego Krzyża polskiego, międzynarodowego. Nie wiem, nie mogła się nic dowiedzieć, absolutnie. I wreszcie w pewnej chwili mówię: „To jest chyba beznadziejne, ale ja może wobec tego napiszę do komendanta obozu w Oświęcimiu.”. No i wie pan, tutaj sprawdził się niemiecki porządek. Przyszła karta: „Pani mąż był w naszym obozie, w tym i w tym dniu został wywieziony do obozu innego, w Oranienburgu. Taki i taki adres.”. No i to, że tak powiem, postawiło nas na nogi. No ojciec żyje. No o braciach nic nie wiedzieliśmy, znaczy ja nie wiedziałam, ale ojciec przynajmniej przeżył Oświęcim. Teraz nie wiemy, no jest w Oranienburgu. Ale uratował się cudem zupełnie. Po prostu dlatego, że pędzili ich, no to bez sensu, ludzi z obozów półżywych z tego Oranienburga pędzili gdzieś dalej, nie wiadomo, gdzie i po co. Z jednej strony alianci, z drugiej strony Rosjanie. No, bezhołowie. I ojciec mówi, że padali po drodze. Jeżeli upadł, to już zawijali. Ojciec jakoś włókł się i mówi: „W pewnej chwili, radość niezemska. Oni nas zapędzili do lasu. Myślmy, że pewnie nas tu wykończą. I las otacza wojsko amerykańskie. I wyzwala nas.”. W ten sposób po prostu dożył końca tego wszystkiego. I zawieźli ich do, może pan tę nazwę zna, Maczków, Meppen. To był dla takich właśnie ludzi, którzy nie chcieli wracać do kraju z różnych powodów, ale nie chcieli być też w niemieckich żadnych obozach, bo to było dla nich przecież upokarzające. Polacy wygrali wojnę, Niemcy przegrali, a ojciec mówi, że warunki w tym obozie były nie lepsze jak w więzieniu. Może po wojnie, może takie musiały być. W każdym razie siedział tam, w tym obozie, ale nie wracał. Złapaliśmy z nim kontakt, ale on po prostu zdobył gdzieś jakiś z demobilu gruchot i jeździł, szukając synów. Bo uważał, że nie mógłby się pokazać mamie na oczy, gdyby nie wiedział, co z dziećmi. I tak w jednym obozie znalazł jednego, jeździł po całych Niemczech, w innym znalazł tego drugiego. I ich już ze sobą zabrał do tego Meppen. No i tam tkwili. No a my z kolei, no w tej Częstochowie. Życie się o tyle unormowało, że ojciec napisał do nas: „Ja was wyciągnę stamtąd, ja nie mogę przyjechać, ale ja was wyciągnę. Bądźcie cierpliwi i niech Dana się uczy, po prostu żeby coś miała skończone. Nie chodzi o to, czy wyższe studia, tylko coś, coś, żeby było skończone.”. Więc zapisałam się do szkoły, tylko miałam świadomość, że przez te komplety były, nie były przerwane. Więc że muszę dwa lata zrobić w jeden rok, żeby nadgonić to, co straciłam. To były dla mnie bardzo trudne chwile. Żyłam, przypominam sobie, taki środek był, żeby nie zasypiać. To się nazywało „psychedryna”. Do dziś dnia to pamiętam, bo tykałam to dziennie wieczorem, ponieważ wiedziałam, że ja nie mogę się położyć, bo ja nie mam czasu na położenie się, ja muszę uczyć się. No i jakoś mi się to wszystko udało z tym, że poświęciłam jeden przedmiot, ponieważ raczej byłam humanistka, więc zrezygnowałam z matematyki. Może pan zna nazwisko, tacy bracia byli, jeden reżyser, drugi poeta, Różewicz. I z tym jednym z tych Różewiczów pod ławką, on też coś do tej matematyki ciągu nie miał, siedzieliśmy i kiedy przyszło do matury, to pamiętam, że walka była. Podstuchiwaliliśmy przez zamknięte drzwi, narada wielka, nauczycielka, co nam dać, jakie oceny. I kłótnia była o mnie, bo facet powiedział: „Ja jej na oczy nie widziałam, więc ja jej matury nie dam.”. A polonista, historyk, którzy mnie mieli na piątkach: „To nie ma mowy, żeby jej nie przepuścić.”. Więc śmiać mi się chce,

bo mam na maturze same bardzo dobre i jeden dostateczny z matematyki. To znaczy, jakoś przekonali go, że trzeba ją przepuścić. I to było, wie pan, miałam perypetie, chciałam na studia pójść, no to pytali mnie się na przykład: „Kruk-Strzelecka, co to jest, to ta arystokracja, co to jest, czy legiony?”. Ja mówiłam: „A co gorsze?” – „Oba złe”. Jak oba złe, no to już wszystko jedno. Nie miałam prawa się dostać, dlatego, że oni brali, to oni chcieli mieć szybko, wie pan, swoją palestrę, swoich sędziów, swoich adwokatów, no więc brali chłopaków z wojska. Naprawdę to musiały być biedne chłopaki, które w ogóle nie mogły sobie dać rady. Ja miałam maturę i to dlatego mnie łaskawie przyjęli na prawo, że ja miałam łacinę zdaną. Więc oni w ogóle nic nie mieli, żadnych studiów, żadnych, a ja potrzebowałam jeszcze wylegitymować, że łacinę mam zdaną. No, ja wiem, że to było potrzebne na prawie, no ale jakie to standardy były, tak? Przypominam sobie, że w Warszawie jak studiowałam, właściwie zdałam na egzamin i na Uniwersytet Warszawski, i na łódzki, na oba uniwersytety, na wszelki wypadek, bo moja mama była w bardzo ciężkim stanie i ja ją musiałam wozić na tak zwane naświetlania radem. To były przerzuty po całym ciele już. No więc w pewnej chwili mówię: „Mamusi, już nie damy rady w Warszawie, te mosty rozwalone, no musimy pojechać do Łodzi. W Łodzi chociaż ciocia mieszka, no to z nimi zamieszkamy, ale chociaż na te naświetlania, transfuzje krwi ciągle.”. To nie były warunki dla tak ciężko chorego człowieka. I dlatego zrezygnowałam z Uniwersytetu Warszawskiego, tylko już studiowałam na Uniwersytecie Łódzkim. Ale wtedy jeszcze, wie pan, było bardzo dużo przedwojennych profesorów. Musieli zaakceptować, bo nie mieli swoich. Tak że ja pamiętam, że znane nazwiska miałam. Łapicki na przykład, Łapicki, ojciec tego aktora. On był właśnie z prawa rzymskiego. I taki profesor przedwojenny. „Ja nie przepuszczę, trzy, cztery, pięć poprawek, ale nie przepuszczę”. No co taki biedny chłopak z wojska ściągnięty ze wsi, jak on miał w ogóle zdać to? To były problemy, naprawdę. Ja bardzo im współczułam, bo siedzieli koło mnie w klasie, myślałam, że przecież to niemożliwe. Petitum [wniosek w sprawie] było pół strony po łacinie. No co on mógł biedny zrobić, tak? Ale Kotarbiński na przykład był z logiki. Miałam Kotarbińskiego. No oczywiście była ekonomia socjalizmu, ekonomia kapitalizmu. Wiem, że w pewnej chwili zdawałam jakiś egzamin i profesor powiedział: „Czy pani jest córką Tadeusza?”. – „Tak”. I on więcej nic nie pytał. A ja tylko spytałam: „Czy pan profesor znał mojego ojca?” – „Tak”. I to było... tylko tyle wymieniliśmy między sobą uwag. Chrzanowski, prawo karne, Sawicki, znany prokurator. Byli dobrzy profesowie, dobrzy w swoim zawodzie po prostu. Więc zasadniczo nie mogę narzekać. Nie należał do partii komunistycznej, mowy nie było. Więc można tylko było pracą do czegoś się dobić. To znaczy bardzo dobre wyniki. Bo to samo potem było z moimi synami. Powiedzmy 600 osób chętnych na Elektryczny Wydział, na Politechnikę. Nie byłeś w partii komunistycznej, w młodzieżówce komunistycznej też nie byłeś, więc musisz tak zdać, żeby przebić wynikiem swoim. I w ten sposób pokończyli studia.

Rafał Pękała: A proszę powiedzieć, z tatą się już pani nie zobaczyła? Z tatą się już Pani nie zobaczyła nigdy?

Anna Danuta Przytuła: Nie.

Rafał Pękała: A on żył razem z pani braćmi na zachodzie, tak? Tam się osiedli?

Anna Danuta Przytuła: Ojciec był razem z braćmi. Więc wie pan, ojciec obiecał, że nas ściągnie. Trzy razy próbował. Trzykrotnie próbował. W różny sposób. Myśmy nie wiedzieli, jak to będzie. Wydaje mi się, że ojca oszukiwa-

li. W każdym bądź razie raz pisał: „Proszę cię, ucz mamę, może będzie w stanie przejść. Czy będzie mogła przejść dwa kilometry?”. No mnie się wydawało, że to niemożliwe, ale codziennie z mamą spacerowałam i odpisałam ojcu, że damy radę. Nie wiem, co się stało. Człowiek wziął pieniądze, ale nigdy nie doszło do tego. Mieliśmy się spotkać w określonym miejscu na zielonej granicy i te dwa kilometry przejść. Drugi raz to było... Też pan nie może tego wiedzieć, ale to była znana afera. Pociąg jechał z Krakowa. Przez Czechy. I ojciec załatwił, że myśmy się tym pociągiem mieli zabrać. Niestety w tym pociągu ktoś wywoził jakieś... jakieś zabytkowe rzeczy z Krakowa, z muzeum. I władze zatrzymały, bo to już władze polskie były, zatrzymały ten pociąg. Myśmy zdążyły wyskoczyć w ostatniej chwili z tego pociągu. No więc zapłacił gdzieś ojciec, ale myśmy nie dojechały. Wreszcie trzeci raz, to była największa okazja. Mianowicie ojciec przesłał nam informację: „Jest samochód UNRRA i będzie ktoś, kto podjedzie i was zabierze, i to będzie samochód, który nie będzie sprawdzany, bo te samochody UNRRA nie są sprawdzane.”. I wie pan, to była naprawdę jedyna i ostatnia dla nas szansa. Ale mama z tego wszystkiego, no nie wiem jak to się stało, złapała skrępy. I lekarz powiedział... w nodze. I lekarz powiedział: „Nie ma mowy, żeby ruszyć. No ten skrzep powędruje, no zabijecie ją. Ona musi unieruchomiona być.”. I ten młody człowiek dwa razy się do nas zgłaszał. Mówi: „Wybiła godzina, ja muszę wracać.”. Ja mówię: „Mama jeszcze nie może jechać.”. I to był ostatni raz. Zresztą, mój Boże, w końcu mama zmarła. Ja zwróciłam się nawet do ambasady brytyjskiej. I niech pan sobie wyobrazi, że oni mi dali promesę wizy. Dla mnie i dla mamy. Ale moi nie chcieli paszportu dać. Po prostu powiedzieli, że mama może, ale beze mnie. A mama była w takim stanie, że ja mówiłam: „Słuchajcie, ja mamę chcę wywieźć, żeby się z ojcem zobaczyła na lotnisku. Musi umrzeć i umrze, ale żeby się zobaczyli.”. Ale nie mogłam jej samej puścić przecież, bo ona w ogóle nie byłaby w stanie jechać. No więc jak mnie nie dali paszportu, mimo że miałam promesę wizy z brytyjskiej ambasady, no nie mogliśmy wyjechać. W ten sposób ojciec zrezygnował z Maczkowa, bo przedtem próbował wszystko załatwiać jeszcze z tego Meppen, z tego Maczkowa. Bo to różne już drogi mogły być, nawet może tacy przemytnicy, jakimiś my się posłużyły nad Bugiem, ale tam trzeba było wreszcie się zdecydować, bo Anglicy nie chcieli wszystkich przyjąć, ale powiedzieli: „Ci którzy do ostatniej chwili walczyli i są w mundurach...”, to Churchill podobno powiedział: „Ja tym ludziom dałem słowo honoru, więc ich należy wpuścić.”. No bracia byli w mundurach i ojciec też, no, żołnierze, wojownicy. I w ten sposób oni znaleźli się w Londynie i tam mieli ewentualnie, może oficjalnie, może coś kombinować. Ale nie wiem, co, do czego doszło, to mama zmarła. Tak że bracia nigdy mamy nie zobaczyli, a ja nigdy ojca nie zobaczyłam. I dlatego mówić o jego drodze życiowej jest mi trudno, bo to wszystko mieliśmy sobie powiedzieć po Powstaniu. Były listy, ale te listy były mylące, a to ciocia, a to babcia, a to, wie pan, bo o ojca się pytali. Szukali go z Urzędu Bezpieczeństwa? Tak, tak. Urząd Bezpieczeństwa. Wiem, że mój telefon, znaczy telefon w mieszkaniu, gdzie mieszkaliśmy, to było mieszkanie mojej ciotki, ona wyjechała potem z mężem poza tym i zostawili nam to mieszkanie. No to telefon był na podsłuchu. Był na podsłuchu i zresztą ciągle mi reperowali ten telefon. Co jakiś czas: „Musimy sprawdzić, bo coś...”, ja mówię: „Ja zupełnie dobrze słyszę”. – „Nie, nie, nie, jakieś są szumy, jakieś trzaski są.”. Pewnie wkładali mi tam coś, a ja głupia nie wiedziałam o tym, no. W każdym razie wiadomo było, że ojciec nie może przyjechać. Nie mógł przyjechać. Po prostu by aresztowali go, przecież zresztą ile oficerów aresztowali, którzy, tak jak ojciec mówił: „Połowa się waha, bo chce jechać do kraju, bo w kraju rodziny, a połowa mówi, nie mamy po co jechać, bo nas wyślą na wschód, no, jeżeli nie zabiją na miejscu.”. No więc ojciec po prostu nie przyjechał. Nie przyjechał, ale wie pan, jestem pełna zdumienia nad... że tak powiem, pewną sprawnością i odpornością ojca, bo on po tych wszystkich przeżyciach w końcu zmarł na atak serca. Ale zanim co, to ja wiem, że bardzo wielu polskich dygnitarzy, i to w takich rangach, no pułkownicy i wyżej, robili byle co, bo żołnierz

to nie był zawód. No lotnicy to była obrona Londynu, ale taki powiedzmy przeciętny żołnierz, niektórzy nie mieli wykształcenia, a na pewno nie mieli wyższego wykształcenia, bo gdzie i kiedy mieli je zdobyć. Więc wiem, że niektórzy pracowali w... no wie pan, jakiś woźny gdzieś. To przecież upokarzające. A mój ojciec właśnie, wie pan, ja nie wiem jak on to zrobił. On spotkał się z tymi swoimi przyjaciółmi z konspiracji, z którymi tworzyli tę polską... Służbę Zwycięstwu Polski. Więc to było jedno, ale oczywiście oni niczym nie dysponowali. Prawdopodobnie musiał się zwrócić po prostu do miejscowych władz polskich, wojskowych, bo przecież tam kiedyś był rząd i prezydenci i tak dalej, że dostał czasową pożyczkę na założenie jakiegoś biznesu i udało mu się złapać kontakt z Muzeum Brytyjskim. I pamiętam jak do nas pisał: „Słuchajcie, to jest praca na całe życie. To muzeum jest ogromne, intrologatorium. Oni potrzebują bez przerwy kogoś, więc to jest zajęcie na zawsze dla mnie. Ale muszę zamknąć się w pewnym czasie. Nie będę do was nic przez ten czas pisał. Dzień i noc pracuję, żeby zwrócić tę pożyczkę i to już ostatnie raty. I to już będzie wtedy moja intrologatorium.”. I wie pan, nie wiem jak to się stało, brat mówił, że trochę się słabo czuł, poszedł do lekarza i lekarz mówił: „Nie, nie, nie, to takie zwyczajne badanie, to jest troszkę za mało. Ja proszę, żeby pan w poniedziałek zgłosił się z synem, nie przychodzić samemu, tylko z synem...”, ojciec był młody jeszcze, miał pięćdziesiąt parę lat, „...i zrobimy głębsze badania. I bezwzględnie musimy to zrobić”, a to był czwartek czy środa, „Do poniedziałku, w poniedziałek pan przyjdzie.”. I brat mi pisał, że ojciec w niedzielę doszedł do wniosku, że robotnicy przyjdą w poniedziałek i muszą normalnie pracować, a on może czasem zostanie w tym szpitalu dzień czy dwa, czy trzy. Wobec tego musi naszykować dla nich papier. No brat się chyba nie orientował, bo mieszkali na pierwszym piętrze, a ta intrologatorium była na parterze. I ojciec zszedł na dół i brat mówi, że zdawało mu się, że za długo tam siedzi. On po prostu wziął gilotynę i te parę ruchów zrobił, cięcia papieru. I brat go znalazł leżącego na korytarzu na schodach. To był czas powojenny, no nie wiem, może to były trudne warunki. Mówi, że wezwał natychmiast pogotowie, ale nie przyjeżdżało, nie przyjeżdżało. A on faszzerował ojca pod język nitrogliceryną i mówi, że ojciec w wielkich mękach zmarł, bo się dusił i straszny ból w piersiach czuł. To była angina pectoris, rozległe zajęcie zupełne. Miał pięćdziesiąt parę lat, no mama miała czterdzieści parę. Tak że ja trochę za wcześnie straciłam rodziców. I tak jak panu mówię, no wszyscy uważali: „Boże, jaka jesteście szczęśliwa rodzina. Każde z was gdzie indziej było, tu w obozie, tu gdzieś w Portugalii wujek, tu znowu wy w Powstaniu, wszyscy przeżyliście.”. I nigdy nie spotkaliśmy się. Rzeczywiście cud, że wszyscy przeżyli. No ale ja ojca więcej nie widziałam, a bracia nigdy mamy. Tak, że wie pan... Tak straszne te losy wojenne bardzo was podzieliły w różne strony świata. Okropne, wie pan. I powiem panu szczerze, że jest we mnie jakaś taka... Przecież mieliśmy dwie okupacje, niemiecką i sowiecką. Ale ta niemiecka mnie tak nie dotknęła, bo jak się ma 18,5 lat, no to 5 lat, no to jeszcze kawałek życia przede mną. Ale jak przyszli Sowieci, no to się zrobiło kilkadziesiąt lat. A jak się nie chciało być w partii, to się kariery nie robiło. A ja nie byłam, mąż też nie, synowie też nie. Tak, że to były bardzo trudne czasy i taki bezsens życia w tym kraju. Że głową muru nie przebijesz, nie chcesz być w partii, no to musisz się zgodzić z tym. Ja i tak byłam zadowolona, bo synowie dzięki ciężkiej pracy, solidnej pracy, pozdawali to wszystko. A to się liczyły punkty, a to punkty za powodzenie wsiowe, a to za inne jakieś zasługi dla wojska, w wojsku ludowym. Różne były punkty, ale my nie mieliśmy żadnych, wprost przeciwnie. To tak jakby Wałęsa powiedział, plusy ujemne. Tak można to określić. No ale i tak wie pan, w sumie to, jeżeli można podsumować jednym zdaniem, to chyba nie wylądowaliśmy tak źle, bo pokończyli studia, jeden absolutnie do końca, drugi niezupełnie, więc powiedział, że wszystko co jego jest, płyty i sprzęt muzyczny i co tam, wszystko posprzedawać i zapłacić za studia jego, żebyśmy nic nie byli winni. No więc ja tak zapłaciłam, a oni po prostu pokończyli bardzo dobrze, pozdawali egzamin z języka angielskiego w ambasadzie, i wystąpili, no jeden, potem drugi, z podaniami, czy mo-

gliby kontynuować studia jakieś, jednocześnie dostać asystenturę, bo to chodziło o to, że dużo Polaków na lewo chciało pracować i przedłużać pobyt. Więc czy oni mogliby asystenturę czy coś dostać i żeby doktoraty porobić. No więc dostali właśnie odpowiedź z Minnesoty, bo to jest mieszkanie, w którym oni mieszkali, więc dostali zapewnienie, że tak, mogą studiować. Nie było to nic, wie pan, dużego, no ale na życie wystarczyło. Dostali te doktoraty. A ja z kolei przyjechałam do nich na zasadzie, że zawsze za każdy raz jak wyjeżdżali, to wyjeżdżali oficjalnie, bo musieli, nie wiem czy pan sobie zdaje sprawę, że żaden student nie mógł wyjechać inaczej, jak tylko jeżeli wszystkie egzaminy zdał. Więc oni jak szaleni się uczyli, żeby przed wakacjami zdać, żeby mogli wyjechać na wakacje. Oczywiście oni nie jechali na wakacje, tylko do pracy do Szwecji, żeby zarobić na jakąś wycieczkę, czy na trochę lepsze może ubrania. Ale mówiło się, że wakacje. Młodzież, Polacy nie potrzebują pracować, ale mają prawo odpoczywać. Więc zawsze dostawali te miesiące dwa wolne. I przyjeżdżali, i zaczynało się ten sam kołowrót, zdążyć przed następnym rokiem, przed wakacjami, wszystko poskładać, egzaminy i dobrze poskładać. Dostali się wreszcie na te asystentury, a ja zostałam w kraju. Zostałam w kraju i prawdopodobnie nic by się w moim życiu nie zmieniło, gdyby nie to, że oni powiedzieli: „Słuchaj, my jesteśmy tu legalnie i my jako asystenci, my nic na lewo nie robimy, to ty możesz przyjechać, zaproszenie przysyłamy, że ty jesteś na naszym utrzymaniu. Możesz dostać wizę na trzy miesiące”, że mogę dostać. To znaczy nie tylko ja, ale to było maksimum, jakie można było dostać, jak się przyjeżdżało do Ameryki. I mnie złapał stan wyjątkowy, wojenny w tym czasie.

Rafał Pękała: A pani tu przyjechała, tak?

Anna Danuta Przytuła: Przyjechałam, przyjechałam bez ubrań zimowych, bo wiedziałam, że już ja jadę odwiedzić ich, ale ja nie mogę ze sobą brać, bo ja się nie przeprowadzam do Ameryki. Więc po prostu miałam raczej, powiedziałabym, z cepelii różne prezenty dla znajomych, dla nich coś i tak dalej. No i na te trzy miesiące wizę dostałam. To była kwestia special permission od Reagana dla ludzi, których złapał stan wojenny w Ameryce, pozwolenie na zostanie. I tylko na tej zasadzie, że to nie było nic nielegalnego. Po prostu zostałam dłużej. No a potem to wie pan, te stosunki jakieś takie się wytworzyły, że jakaś nić sympatii, porozumienia i chęć pomocy. Reagan-papież, Reagan-papież. W każdym razie ciągle nam przedłużał, aż wreszcie powiedział, że bez przedłużenia my dostajemy pobyt.